Nr. 25. We Lwowie dnia 22. czerwca 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Stanisław Moniuszko.

(Dokończenie).

Serdecznem też uznaniem i wdzięcznością otaczali go współziomkowie, a Władysław Syrokomla, również jak on ukochany, i jak on zawcześnie zgasły poeta, takim wyraził ją wierszem:

»Gdy widzę promienne, natchnione Twe oko,
Gdy słyszę Twą piosnkę natchnioną,
Łaskawą Opatrzność uwielbiam głęboko,
Że iskrę skrzesała w Twe łono,
Że pamięć i o nas w niebiosach się mieści,
Że piewcę pomiędzy nas budzi.
Że Twojem imieniem i blaskiem Twej cześci
Powiększa cześć naszą u ludzi.
Lecz jeszcze nie tutaj Twa wielkość się znaczy,
Tu pełni Opatrzność swe plany:
Bóg natchnął Ci twórczość, wlał ogień śpiewaczy,
Ty śpiewasz, boś na to zesłany.
Serdeczniej podziwiać i kochać Cię będziem,
Żeś dla nas poświęcił się cały,
Żeś stanął jak Orfej z muzycznem narzędziem,
Rozmiękczać kamienne umysły,
Widziałem po świecie, jak pieśni Tej siłą
Zawrzały kamienne umysły,
Jak oko, co dotąd bezmyślnie świeciło,
Poczuło, jak łzy nam wytrysły.
Słyszałem, jak napiew, przez Ciebie schwycony
Na polu, lub w chacie rolnika,
Napawa urokiem litewskie salony,
I swojem uczuciem przenika.
. . . .
I ludzie, uległszy pieśniowej potędze,
Zbliżą się z rodzinną szczerotą,
I ten, co we złocie, i ten, co w siermiędze,
W braterskich uściskach się splotą«.

Pobyt w Wilnie przerywany był kilku wycieczkami do Warszawy i Petersburga. W r. 1846 dnia 12. września, przedstawiono w teatrze warszawskim pierwsze sceniczne dzieło Moniuszki, jednoaktową operetkę p. t. „Loterja", skomponowaną do słów p. Oskara Milewskiego. Ta operetka, zyskawszy przychylny sąd znawców, była jak gdyby zwiastunem większych prac jego liryczno-dramatycznych.

W tym także czasie zabrał znajomość z Włodzimierzem Wolskim, poetą obdarzonym niepospolitym talentem, który mu wręczył libretto do dwuaktowej opery p. t. „Halka". Piękna i łatwo poddająca się pod muzykę forma wiersza, dramatyczność przedmiotu, dobrze zestawione sytuacje, rozbudziły twórczą fantazję kompozytora, który natychmiast zajął się muzyką do tej opery.

Zachęcony wysokiem ocenianiem swoich kompozycji przez Vieuxtemps'a, Borrer'a i Servais'go, którzy, dając w Wilnie koncerty, nigdy nie pomijali gościnnych progów Moniuszki, ani się obchodzili bez jego współudziału, udał się w r. 1849 do Petersburga.

Nie zawiózł tam innej protekcji, oprócz poprzedzającej jego przybycie renomy.

W pierwszym koncercie wystąpił z mitologiczną kantatą „Milda", skomponowaną do słów, wyjętych z „Witoloraudy", poematu Kraszewskiego. Cały świat muzykalny Petersburga zapełnił salę, a po skończonym koncercie, który się odbył w połowie zimy, estradę zarzucono kwiatami.

Powodzenie trzech z rzędu koncertów, na których, obok wymienionej kantaty, dał słyszeć drugą p. t. „Nioła“, było tak wielkie, że pochlebna wieść o młodym kompozytorze, doszła do dworu.

Cesarz Aleksander II., naówczas następca tronu, udarował Moniuszkę drogocennym pierścieniem.

Śpiewniki jego z tłómaczonym na ruski język tekstem, ukazały się wkrótce po półkach księgarskich i niebawem przebiegły do salonów Petersburga i Moskwy.

Powróciwszy do Wilna, zajął się wykończeniem „Halki“, którą zastosowawszy do środków tamtejszej sceny, niezadługo przedstawił.

Dzieło to, jakkolwiek najserdeczniejszem powitane współczuciem, nie mogło ze względu na wykonanie zadowolić autora, czującego potrzebę obszerniejszego dla swoich utworów pola.

Moniuszko przesłał partyturę „Halki“ Teatrowi Warszawskiemu, gdzie... smutno wyrzec... dziesięć lat spoczywała na półkach bibljoteki.

Niechaj wyjaśnią ci, których to dotycze, lub którzy lepiej od nas tę rzecz rozumieją, co było powodem tak długiej obojętności?

Na scenie Warszawskiej wykonywano przeważnie opery włoskie, pociągające artystów łatwością wyuczania się i powodzeń przystępniejszych dla ogółu melodji. Ależ i nazwiska takie, jak Halévy'ego, Meyerbera, Aubera, twórców trudniejszej muzyki, co czas jakiś zjawiały się na afiszach. Czyżby dyrektorowie, przeglądając partycję „Halki“, znajdowali ją jeszcze trudniejszą? czyżby artyści lękali się mozolniejszej pracy, lub nie wróżyli powodzenia w muzyce, niełatwej do natychmiastowego zapamiętania? To wszystko być może, nie chcemy się wyrywać niebacznie ze słowem potępienia... trzeba znać bliżej teatr, wymagania, a często i uprzedzenia artystów, i lękliwość, dającą się nieraz usprawiedliwić, obawę, przyjmowania na siebie odpowiedzialności za rzecz trudniejszą, wymagającą większego w słuchaczach wykształcenia i zamiłowania muzyki głębszej... istotnie dramatycznej... Wszak tyle oper, uznanych później za arcydzieła, doznało najfatalniejszego przyjęcia na pierwszych scenach Europy!

Dosyć, że „Halka“ miała aż nadto czasu przyodziać się grubą powłoką pyłu, dopóki nie otrząsł jej z niego Jan Quattrini, dyrektor opery i nauczyciel ówczesnej szkoły śpiewu przy warszawskim teatrze.

Oddajmy co komu należy. Quattrini pierwszy zaproponował stanowczo przedstawienie »Halki“ i wykazał artystom piękności tego dzieła, przełamał ich obawę i szczerze się zajął doprowadzeniem do skutku raz powziętego zamiaru.

Nietrudno pojąć, jakiego doznał wrażenia Moniuszko, dowiedziawszy się o tem, jak skwapliwie pochwycił w rękę partyturę, aby ją przejrzeć, rozszerzyć na wielką orkiestrę i ostatecznie wykorygować.

Lecz dziesięć lat czasu nie minęło dla kompozytora bezowocnie. Talent się jego rozwinął, spotężniał, doświadczenie zmężniało. To też spojrzawszy z dziesięcioletniej, że tak powiem, odległości na swoje dzieło, uznał potrzebę zmian daleko większych, niż się spodziewał, a przedewszystkiem rozszerzenia jego ram do czterech aktów.

Oto dosłowny przekład listu, pisanego po włosku, do Quattriniego:

Najzacniejszy Panie!

Czytam w gazetach, że dzięki Twojej życzliwości dla opery polskiej, moja *Halka* ma nareszcie ukazać się na warszawskiej scenie. Ta nowina, tak dla mnie szczęśliwa, nabawia mię jednak żywą niespokojnością — a powód jej taki: dziesięć lat nieustannych i pilnych studjów wzmogły moje doświadczenie w sposób, iż przeglądając tę operę, uczułem potrzebę całkowitego jej przerobienia, nie zmieniając jednak pierwotnych myśli. I tak:

1-o Rola *Jontka*, prawdziwie głównej osoby dramatu, już nie jest pisaną na baryton, lecz na tenor.

2-o Do finału pierwszego aktu dodałem i arję dla *Jontka* i *Janusza*.

3-o Transponowałem Introdukcję, Tercet Jontka w pierwszym akcie.

4-o Polonez, rozpoczynający operę, musi być koniecznie tańczonym, jak zwykle na balu.

5-o Po pierwszym numerze drugiego aktu są konieczne góralskie tańce, które tam wprowadziłem.

Proszę więc pana o powstrzymanie nauki mojej opery i przyjęcie dyrekcji jedynie pod warunkiem, że będzie wykonaną tak, jak posyłam ją panu w układzie fortepianowym. Co do partytury orkiestrowej, przysyłać ją będę częściowo, i to jak najśpieszniej. Przepisywanie ról może potrzebować najwyżej dziesięciu dni, ale opera wiele zyska, i mam nadzieję, że dyrekcja, choćby przez wzgląd na dziesięcioletnie moje oczekiwanie, przychyli się do moich życzeń.

W każdym razie gorąco się polecam panu, składam w Twoje ręce moją operę, pewny, że jako artysta, będziesz umiał trzymać moją stronę.

Jeżeliby dyrekcja odmówiła nowych wydatków na kopiaturę ról, jestem gotów wziąć je na siebie, byle dzieło moje było wykonane, jak sobie życzę.

Tymczasem, przyjmij pan serdeczne dzięki za uprzejmą protekcję, jakiej użyczasz mojemu dziełu, kiedy żaden ze współziomków nie po-

myślał nawet o jego przedstawieniu — i chciej wierzyć w prawdziwy szacunek i wdzięczność

Twego najżyczliwszego sługi.

Stanisław Moniuszko.

Wilno, d. 4. czerwca 1857 r.

*
* *

Artyści, rozpatrzywszy się w powierzonych sobie partjach, zaczęli nabierać coraz większego upodobania, odkrywać w nich coraz więcej piękności i już nie wątpili o powodzeniu.

Quattrini zajmował się próbami, Matuszyński, od niedawnego czasu reżyser opery, krzątał się szczerze i umiejętnie około wystawy scenicznej, Dyrekcja nie szczędziła kosztów na nowe kostiumy i dekoracje: stary śp. Sacchetti, prawdziwy mistrz dekoratorskiej sztuki, rzucał na płótno śliczną okolicę wiejską z widokiem na Wisłę i dalekie Karpaty, aby ukończywszy ją, wymalować wspaniałe wnętrze staroszlacheckiej, zamożnego dworu komnaty.

Kompozytor, zawiadomiony o tem, tak znowu odezwał się do Quattriniego (tym razem w języku polskim):

„Szanowny panie Dyrektorze!

Kilku moich życzliwych znajomych donoszą mnie o postępie *Halki*. Nie umiem panu wypowiedzieć, jak mnie to cieszy, i wiele Mu jestem obowiązany za łaskawe i pełne dobrej woli trudy, jakie ponosisz przy mojej muzyce. Przyjm pan najczulsze moje podziękowanie, na jakie tylko serce kompozytora zdobyć się może. Bardzo byłbym szczęśliwy, gdybym mógł asystować orkiestrowym repetycjom. Nie wiem tylko, czy moje artystyczne finanse dozwolą tej przyjemności. O doskonałe wykonanie jestem zupełnie spokojny, ale ciekawości mojej nie zechciej pan wziąć mi za złe.

Polecam się zupełnie troskliwości pańskiej i zostaję

z wysokiem poważaniem
najżyczliwszym sługą.

Stanisław Moniuszko.

1857. Listopad 1. Wilno.

Zbliżał się dzień przedstawienia, mający stać się epoką w życiu Moniuszki i w dziejach naszej muzyki dramatycznej. Kreślący te słowa otrzymał list od Władysława Syrokomli, w którym, bolejąc nad skonem ukochanego śpiewaka Kaliny, poeta dodaje:

„Jakżeś ty piękny, jak rzewny napisał wierszyk po Komorowskim! Musiałeś go kochać jako człowieka i dobrze oceniać jako artystę. Śmierć nam zabiera naszych ukochanych wybrańców, korzmy się przed wyrokami Opatrzności, a nie zabijajmy tych, którzy zostali. Oto w tej chwili nasz Moniuszko, drżąc, czeka na wyrok waszej Publiczności. Lękam się przewidywać, ale Bóg wie, czy wypieszczona muzyką włoską publiczność wasza zasmakuje w muzyce trudniejszej, klasyczniejszej, choć zarazem rzewnej. Znawcy pochwalą, ale czy ogół zrozumie? Moniuszko należy do potomności, on spokojny o sąd znawców teraźniejszych i przyszłych, ale jemu potrzeba być odczutym, zrozumianym, pokochanym, to więcej znaczy, niż oklask. Warszawa w tej chwili ma wydać wyrok, ale niech pamięta, że wyrok ten będzie jeszcze przesądzany przez Europę i potomność. Sędziowie, miejcie się na baczności!“

Na szczęście, obawy serdecznego wieszcza okazały się płonnemi. Znawcy pochwalili, ogół zrozumiał, Moniuszko został odczutym i pokochanym. Warszawa nie powstydziła się swego wyroku, a echo oklasków drga jeszcze w naszych sercach...

Jan Chęciński.

Ustrój i gospodarka Londynu.

Stolica Anglji posiada rozległe prawo autonomiczne, czyniące ją prawie że zupełnie niezależną od rządu i korony. Ostatnia angielska ustawa o miastach z r. 1835 niemal w niczem nie naruszyła starodawnej konstytucji Londynu, a mieszkańcy tego miasta tak są dumni ze swoich praw i tak o nie zazdrośni, że ustanowili osobnego urzędnika tzw. City-Remembrancer, mającego obowiązek czuwania nad nienaruszalnością swobód. Pierwsze i ostatnie jego zadanie polega na tem, że City-Remembrancer musi badać każdy zjawiający się projekt ustawy i protestem swoim usuwać go, jeżeliby w czemkolwiek zagrażał dotychczasowemu ustrojowi administracji miejskiej. Zarząd stolicy utrzymuje też ścisłe a rozległe stosunki z członkami parlamentu bez względu na ich przekonania, a to dla tego, ażeby być pewnym ich przyjaznego dla siebie usposobienia i z ich pomocą nie dopuszczać do ewentualnego naruszenia dotychczasowego porządku rzeczy. Częste bankiety i przyjęcia członków parlamentu, urządzane na koszt miasta, ten a nie inny cel mają na oku.

Podstawę ustroju stolicy angielskiej tworzą tzw. „wards“, czyli stare dzielnice Londynu, których początek sięga jeszcze czasów normandzkich. Zaraz po Wilhelmie Zdobywcy (1066—1087) rozpadał się Londyn na 24 takich wards; później przez podział utworzono jeszcze jedną, a niebawem potem wskutek wcielenia miejscowości Sauthwark, położonej na południe od Tamizy, otrzymał Londyn dwudziestą szóstą dzielnicę.

„Wardsy“ te podzielone są na dwieście przeszło okręgów wyborczych, a każdy z nich wysyła do londyńskiej rady gminnej swojego „common councilman“ (rajcę gminnego). Prócz tego wybiera każda dzielnica na czas dożywotni swego „alderman'a“. Wszystkie te wybory są zupełnie wolne, nie potrzebują potwierdzenia ani jakiegolwiek ministra, ani korony. Z aldermenów i common-councilmanów tworzy się dla pewnych spraw gminnych coś w rodzaju rady dzielniczej (wardmote), posiadającej własną policję, mianowicie dla urzędowego stwierdzania publicznych braków i niedomagań. Obok tych rad dzielniczych najpotężniejszą i najwpływowszą instytucją jest „Court of common council“, odpowiadająca mniej więcej naszej radzie miejskiej z tą tylko różnicą, że zarówno ta jak i lordmayor (burmistrz) wybierani są na jeden rok tylko. Ażeby jednak wskutek częstych zmian w wyborze osobistości nie wychodziły na tem źle urządzenia miejskie, pozwala ustawa gminna na ponowne wybieranie tych samych rajców, co też zwykle się zdarza, zwłaszcza, jeżeli idzie o jednostki dzielne, wybitne, zasłużone około dobra miasta. Zasada ta potrzebna jest tembardziej, że common-councilmeni rozporządzają do woli pieniędzmi miejskiemi, a na ich uchwały co do kas miejskich wcale aldermani nie wpływają. Jakkolwiek „court of common“ (rada miejska) składa się z 206 członków, do powzięcia uchwał prawomocnych potrzeba jednak obecności 40 tylko członków.

Obok tych dwóch ciał gminnych, obok „wardmote“ i „court of common“ istnieje trzecie ciało gminne, kolegium dwudziestu sześciu aldermenów, odpowiadające dwudziestu sześciu dzielnicom (wards), a posiadające prawo trojakie: po pierwsze, aldermeni głosują w ważnych sprawach razem z ogólną radą miejską, powtóre, zasiadają na plenarnych posiedzeniach starych gild na równi z innymi członkami gildy, po trzecie tworzą dla siebie tzw. „court of aldermen“, a więc coś w rodzaju naszego magistratu. Oprócz tego miejscy radcowie ci są także sędziami pokoju, z rozległą władzą cywilną, policyjną i karną.

Na czele wszystkich tych reprezentacji miejskich stoi, jak wiadomo, starszy burmistrz, czyli lordmayor Londynu, łączący w sobie godność pierwszego urzędnika magistratu, przełożonego radnych miasta i prezesa wszystkich członków gild. Ponadto jest on głową całej administracji miejskiej, przedstawicielem królowej w „cywilnym rządzie miasta“, naczelnym komisarzem milicji miejskiej, „szefem policji“ (conservator) Tamizy, sędzią najwyższym (chief coroner) dla City (miasto właściwe) i jej wolnych okręgów oraz dla miejscowości Southwark, a do tego jeszcze najwyższym sędzią karnym dla Newgate (stare londyńskie więzienie miejskie). Ale na tem nie koniec. Władza jego, którą zaledwie przewyższa Lord Chancellor państwa (najwyższy sędzia Anglji), została w ostatnich czasach rozszerzona jeszcze w ten sposób, że lordmayora zrobiono pierwszym członkiem londyńskiego centralnego sądu kryminalnego i sędzią pokoju dla całej City; jako taki odbywa regularnie pierwszy ten urzędnik m. Londynu sądy policyjne w Mansion-House, które jest właściwą urzędową jego siedzibą.

W przeciwieństwie do aldermenów, których urząd jest honorowym, bezpłatnym, pobiera lordmayor około 120.000 zł. rocznie obok wolnego mieszkania i używania ekwipażów miejskich. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że na posadzie swojej może lordmayor jakiekolwiek robić oszczędności, wydatki reprezentacyjne pochłaniają olbrzymie sumy, tak, że godność lordmayora mogą dzierżyć tylko jednostki bardzo bogate, którym dokładanie z własnej kieszeni nie wielką czyni różnicę.

Zdarza się niejednokrotnie, że wybrany starszym burmistrzem rezygnuje z tej godności, choć na rezygnację taką nałożoną jest grzywna 1000 funtów. Woli on naraz zapłacić około 12.000 zł., niż przez rok urzędowania wydać kilka razy więcej. Lordmayor używa podczas urzędowania swego na równi z ministrami i lordami tytułu „Right Honorable“, a oprócz tego godności jego towarzyszy wiele honorów. Tak np. ilekroć wyjedzie on na miasto, poprzedza go zawsze dwóch konnych „policmenów“, z chwilą gdy opuszcza swój urząd, otrzymuje zwykle osobiste lub dziedziczne szlachectwo. Jakkolwiek ustawa nie sprzeciwia się ponownemu wyborowi, mieszkańcy stolicy nie mają sumienia narażać jednego człowieka na olbrzymi wydatki przez dwa choćby lata.

Nie rzadko godność lordmajora wraca do jednej i tej samej rodziny.

(Dok. nast.)

ADOLF DYGASIŃSKI.

PAN REFERENT.

NOWELA.

Głowę zachodziła onego czasu inteligencja miasta Pińczowa, nie mogąc pojąć, gdzie podziewa pieniądze pan Walenty Ogrodziński, referent powiatu. Co prawda, niewiele on miał do wydania; ale wszyscy urzędnicy stopni niższych pobierali pensje znacznie mniejsze, a jednak żyli daleko dostatniej. Dzieci ich otrzymywały staranne wychowanie, żony stroiły się okazale, oni sami nosili ubiory, zastosowane do bieżącej mody i odpowiednie do pory roku, przytem wyprawiali w domu przyjęcia, grywali w preferansa, a niektórzy od czasu do czasu robili nawet wycieczki do Warszawy. Tylko jeden wśród nich pan Walenty, stary kawaler, więc człowiek bez obowiązków, żył biedniej, niż ostatni aplikant z magistratu. Wiosną, latem i w jesieni od wielu lat chodził zawsze w starym, dobrze wytartym surducie, w łatanych butach i w zmiętym, wypłowiałym kapeluszu. A zwykle tak się troskliwie poopinał, jak gdyby mu głównie na tem zależało, ażeby światu nie pokazać najmniejszej odrobiny swojej koszuli. Dopiero kiedy już śniegi zwaliły, mrozy chwyciły, Ogrodziński nadziewał ogromną watowaną czapkę i futro jakieś takie wyszarzane, że nikt nie był w stanie odgadnąć, co za gatunek zwierzęcia chodził za życia w tej skórze. Nigdzie a nigdzie nie bywał, jakkolwiek stanowisko referenta wymagało niejednokrotnie, aby się i pokazać między ludźmi i ludzi w domu swoim przyjąć. Jedni mówili: „Odludek, mruk, mizantrop!“ Drudzy: „Kutwa obrzydliwy, liczykrupa, pewnie siedzi na pieniądzach, a wszystkiego sobie odmawia!“ Na herbatkach tańcujących, na balikach w Pińczowie stanowił on pospolicie przedmiot rozmowy i ulubiony cel obmowy dla płci obojej. Żaden szczegół jego życia nie uszedł baczności pińczowian i pińczowianek. Tropiono człowieka w biurze, na ulicy, w domu, osaczano jak zwierza dzikiego w kniei. Panie pińczowskie bardzo dokładnie wiedziały, że Ogrodziński tylko w święto używa potraw mięsnych, a przez cały tydzień żyje jak ostatni nędzarz. Cichy, spokojny, nadzwyczajnie pracowity i bardzo dobry, miły człowiek był pan referent. Jak tylko ukończył swoje biurowe zajęcia, natychmiast wymykał się chyłkiem i podcieniami zdążał na przechadzkę za owe sławne mosty na Nidzie. Może w półtory godziny potem wracał do domu i z niezmiernym zapałem brał się do czytania powieści, co stanowiło jego namiętność. Niejeden umyślnie nań czatował, zaczepiał, aby się później w towarzystwie pań pochwalić: „Rozmawiałem dzisisaj z Ogrodzińskim!“ Taki zwracał na siebie uwagę kobiet, które go już ciągle wybadywały: „Co mówił Ogrodziński?“ „Jestto rzeczywiście zagadkowy człowiek!“ Odzywała się pani burmistrzowa. „Żeby się też żywcem tak zakopać, odsunąć od całego towarzystwa!“ „Wyobraźcie sobie panie, przedwczoraj wstępował do apteki!“ Rzekła stara panna Aniela, siostra aptekarzowej. „I pan Skrzekowski powiada, że to jest człowiek bardzo do rzeczy. Skrzekowskiemu można wierzyć, kończył kursa farmaceutyczne w Warszawie, całą „Marję“ Malczewskiego umie na pamięć... Mój szwagier go uważa za najpierwszego prowizora w guberni kieleckiej. Ach, jak on deklamuje — rozkosz!“ „Co się tyczy Ogrodzińskiego — przerwała pani konsyljarzowa, niezadowolona, że w jej obecności może ktoś chwalić farmaceutę — mój mąż sprawdził objawy czarnej melancholji“. „Wesoła żona rozerwałaby go, uleczyła“ — rzekła pani rewizorowa, matka dwóch córek na wydaniu. „Jeszcze podobno pięćdziesięciu lat nie skończył, mógłby uszczęśliwić siebie i kogo...“ „Uszczęśliwić?...“— spytała z drwiącym uśmiechem konsyljarzowa. „Zaręczam pani, że w czarnej melancholji można być tylko nieszczęśliwym i unieszczęśliwiać“. „Okropność!“ Jęknęła Zuzia, starsza rewizorówna.

Urzędnicy znowu zbierali się często w cukierni Fajbusia i, popijając kawę czarną z araczkiem, grywali w bilard, w domino, a przytem — o ile wdawali się w rozmowę — Ogrodziński bywał na planie głównym. „Zrozumieć nie mogę takiego oryginała, jak Ogrodziński“ — rozpoczynał pan kasjer. „Jestem przecie człowiek poważny, mam żonę, dzieci, stanowisko, a nie chowam się do dziury, lubię żyć z ludźmi“.

— Ha, bo pan kasjer wie, że człowiek nie weźmie z sobą pieniędzy do grobu! Jeszcze po kieliszeczku, panie kasjerze!... Pani Fajbusiowa, proszę nalać! — mówił pan sekretarz.

— Podług mnie — wyrokował kancelista — Ogrodziński jest arystokrata i nic więcej. Ci, co go oddawna znają, mówią, że dopóki był kancelistą, to i w domach bywał, wypił, w karty zagrał, a dopiero później w głowie mu się przewróciło...

— Hm, podobno się stara, żeby go do guberni przenieśli, a w samej rzeczy wakans się tam teraz otwarł, pensja ośmset rubli! — powiedział pan pomocnik.

I takie rozmowy ciągle prowadzono w Pińczowie. Tymczasem tę całą tajemnicę pana referenta znał na wylot Mordka Czapnik, zwany powszechnie Rotszyldem pińczowskim, chociaż

był to bardzo pospolity lichwiarz tylko. Ogrodziński nigdy w życiu nie zaciągnął jednego grosza pożyczki, a jednak Mordce Czapnikowi był z roku na rok winien sumę tysiąca rubli, na czem i polegało objaśnienie zagadkowego sposobu życia pana Walentego.

Referent poręczał weksle kolegom, współurzędnikom, którzy nie płacili i o długu swoim przed nikim nie wspominali. On spokojnie za nich płacił Mordce i także nikomu o tem nie wspominał. Płacił za kancelistę, ale kancelista troskliwie skrywał to przed światem; w podobnyż sposób Ogrodziński płacił i za sekretarza, kasjera, pomocnika i innych jeszcze. Zabrnięcie w długi na rachunek cudzy zadziwia tembardziej, że nasz referent miał wstręt ogromny do podpisywania weksli.

— Gdybym posiadał gotówkę — dawał się słyszeć – wolałbym wyjąć z kieszeni i dać, byle tylko nie kłaść swego podpisu.

Cóż kiedy genjalny Mordko miał sposób niezawodny, ile razy chodziło o przełamanie wstrętu i zniewolenie Ogrodzińskiego! Twardy lichwiarz należał do rzędu takich, co to noszą nazwę pijawek. Niejednokrotnie różni panowie urzędnicy robili wielce staranne a daremne zabiegi o pożyczkę; wszystkie ich usiłowania rozbijały się o trudność przedstawienia poręczyciela, który dla Mordki był „dobry“, to jest odpowiadał wszelkim jego wymaganiom. Ogrodziński nawet nie w każdej chwili był dla niego „dobry“, jeżeli właśnie już dźwigał na sobie duże brzemię cudzych długów. Filozofja bowiem lichwiarza tak się wyrażała: „Człowiek, który chce płacić, płaci dopóty, dopóki płacić może... Na co ja go mam zmuszać, żeby nie płacił?“ Mordce bynajmniej nie chodziło o to, komu pożycza pieniądze; on tylko patrzył, kto poręcza. Kiedy jednego razu pan sekretarz zaciągnął pożyczkę i upewniał go, że będzie regularnie dług spłacał, lichwiarz odrzekł z greckim spokojem oblicza:

— Pan sekretarz nie potrzebuje płacić; Ogrodziński jest dobry poręczyciel... Żeby on miał trzy tysiące rubli pensji, jabym jego podpisów przyjął na dziesięć!

Innym razem znowu zaciągnął dług pan kancelista, który, zgarniając ze stołu odliczone pieniądze, poczuwał się do obowiązku wspomnieć o terminie pierwszej spłaty. Mordka uśmiechnął się tylko i rzekł:

Proszę pana, ja stary wróbel, ja wiem, że nie ci panowie płacą, którzy pożyczają... Nu, co złego? Brać pożyczki, to lepszy handel, niż dawać na procent. Niech pan zrobi dobry interes! Mnie nie boli kieszeń Ogrodzińskiego.

I lichwiarz miał ogromne upodobanie do referenta, który się nigdy nie spierał, punktualnie spłacał, co raz podpisał. Ogrodziński stawał się dla Mordki „dobry“ z chwilą, kiedy z zaległego rok rocznie długu tysiąca rubli, spłacił dwieście, a przytem i procent od pozostałych ośmiuset rubli. Zachodzi teraz pytanie, w jaki sposób zniewalano referenta do podpisywania weksli. Sposób ten znał Mordka i, jeżeli tylko wskazał Ogrodzińskiego, jako poręczyciela, dawał też jednocześnie radę, co czynić, aby przełamać jego wstręt do podpisywania weksli. Pan Walenty był romantykiem czystej wody, cały świat marzeń poetycznych wnosił w życie i bardzo łatwo wzruszały go nieszczęścia ludzkie. Roztkliwiał on się bardzo szczerze, naiwnie, kiedy posłyszał, że komuś dzieci umierają, żona obłożnie choruje, dymisja z posady zagraża, albo że go ostatnia nędza trapi. Gotów był własną duszę zastawić, aby dopomódz jakiemu „ojcu zadżumionych“. Kto tylko umiał w jaskrawych barwach odmalować swą niedolę, zawsze zmiękczył serce referenta i zyskiwał w nim poręczyciela, chociażby nawet zmyślił cały obraz nieszczęścia.

Mordka znał doskonale tajemnicę dobrej duszy i wiedział, że pan referent, znosząc po bohatersku własną biedę, znajduje niemałą pociechę w niesieniu ulgi rzekomym nieszczęściom bliźnich. Łatwo już pojąć, dlaczego Ogrodziński nigdzie nigdy nie bywał i nikogo u siebie nigdy nie przyjmował. To, co mu z pensji Mordka pozostawiał, zaledwie wystarczało na bardzo skromne opędzenie potrzeb najniezbędniejszych. Prawdę mówiąc, żył on w ciągłym braku i byłoby mu bardzo źle na świecie, gdyby się nie chronił swą myślą w fantastycznych krainach książek. Żadna skarga nigdy z ust jego nie wyszła i nikt z tych, którzy go pozawodzili, nie słyszał najmniejszego wyrzutu. Sekretarz, kancelista, pomocnik, kasjer i inni spotykali się czasem oko w oko z panem Walentym, a wtedy uważali sobie za obowiązek bąknąć coś o „niezmiernym długu wdzięczności dozgonnej“.

— Nie uwierzy pan referent dobrodziej, ile mię to kosztuje, że dotąd jeszcze nie uiściłem się z należności... Warunki życia są tak trudne...

Niektórzy z nich pobierali pensje wyższe niż Ogrodziński, a i — tak zwane dochody prawe. Te uniewinniania się wprawiały zawsze referenta w ogromny kłopot: uśmiechał się dobrodusznie, kręcił głową i wyglądał wtedy na człowieka, który dług zaciągnął i wstydzi się, że go spłacić nie może.

— Ależ, kochany panie, nie mówmy o tem!... Prosta przysługa koleżeńska... Gdybym ja potrzebował, zrobiłbyś pan dla mnie to samo.

Zapewnienia takie najzupełniej wystarczały, ażeby się dłużnik uspokoił i nabrał otuchy, jak gdyby już dług swój spłacił. Każdy przypinał łatkę referentowi, a nikt o tem nie

wspominał, że referent za niego dług spłacił lub spłaca. Stanowiło to pińczowską tajemnicę, jednemu Mordce znaną równie dobrze, jak i sposób na przełamanie wstrętu referenta do podpisywania weksli.

Taki był stan rzeczy, kiedy pewnege dnia przyjechał z Opoczna pan Marcin Ogrodziński, brat referenta i także referent powiatowy. Serdeczne było powitanie braci, którzy się od dwudziestu lat nie widzieli. Marcin, chociaż o dwa lata starszy od brata, wyglądał jak syn jego i bardzo się strapił widokiem przerażająco wychudłej, pożółkłej twarzy Walentego i jego nadzwyczajnie nędznym sposobem życia. Trzeba tu wiedzieć, że pan referent opoczyński przywiózł z sobą dla brata pieniądze, które kiedyś tam spadły były w schedzie na nieletnich jeszcze podówczas braci Ogrodzińskich. Odbiór tego spadku do rąk zależał od wygrania zawikłanego procesu z klasztorem panien Norbertanek, co się wlokło i wlokło przez długie lata. Suma była niewielka, wszystkiego podobno tysiąc dwieście pięćdziesiąt rubli na głowę; ale dla referenta pińczowskiego ta deska zjawiała się jak raz w samą porę. Brat starszy nie od razu się zdradził z tem, że przywozi skarby takie, a przerażony nędzą Walusia, uważał sobie za święty obowiązek rodzinny zbadanie gruntowne, gdzie mianowicie tkwi przyczyna główna niedoli braterskiej. Rozpoczęły się serdeczne, wylane rozmowy braci, co to w imię wspomnień, drogich związków krwi serce sercu się zwierza, otwiera. Pan Walenty z początku wywijał się, jak piskorz, zbywał Marcinka westchnieniami, półsłówkowem biadaniem:

— Cóż zrobić, mój drogi braciszku:... Bieda, ciężkie czasy i koniec!... Tu u nas w Pińczowie wszystkich trapi okropna bieda... Powiadam ci, jeszcze ja stosunkowo dobrze się trzymam.

Dopieroż Marcin dociera, a coraz to z innej beczki napoczyna, byleby prawda na wierzch wypłynęła, jak oliwa.

— Nic nie rozumiem, mój Walusiu! Przecież ja pobieram pensję równą twojej, a jednak z żoną i dwojgiem dzieci nie cierpię takiego niedostatku! Rozkoszy, co prawda, nie ma; ale się żyje... Chyba ty, człowieku grosz ciułasz?

Gorzko się uśmiechnął Walenty i machnął ręką.

— No, to może jaka kobieta przypięła się do ciebie i ssie do ostatniego szeląga? Powiedz, musimy znaleźć jakąś radę!

Waluś ze zdziwieniem niezmiernem spojrzał na Marcinka i tonem lekkiego wyrzutu odrzekł:

— Mówisz, braciszku, tak, jakbyś mię zupełnie nie znał.

Przez dwa dni biedził się referent z Opoczna i ani rusz, nic nie mógł z brata wydobyć. Używali razem przechadzki za mostami na Nidzie, wspinali się na górę świętej Anny, oglądali na Mirowie stare domy po-arjańskie, pili w domu herbatę, a Marcin nabierał coraz większego przekokania, że Waluś pozostaje w ostatniej nędzy. To też trzeciego dnia przyparł brata do muru z ogromną energją.

— Widzę — rzekł bardzo poważnie — że nie mam u ciebie najmniejszego uznania i tylko jakąś nieufność budzę, a przecież jesteśmy rodzeni bracia! Skoro już lekceważysz takie związki, ha, sobie muszę chyba przypisać winę, żem nie umiał zasłużyć na twoję miłość!

Po takiej przemowie nastąpiło ogromne rozczulenie obustronne, z którego Marcinek skorzystał już bardzo zręcznie i w chwili, kiedy go rozrzewniony Waluś objął za szyję, odezwał się ze wruszeniem:

— Nieprawdaż, braciszku, ty dajesz podpisy na wekslach, poręczasz za ludzi?

— Być może... jakiś raz, drugi... no, ale przecież!

— Właśnie tylko o to mi chodziło! — zawołał tryumfalnie referent z Opoczna. — Trzeba sprawy takie jak najrychlej uregulować, a na przyszłość unikać... Lichwa każdego pożre z nogami i głową!

— Wierzaj mi, Marcinku, mam nadzwyczajny wstręt do podpisywania weksli — usprawiedliwiał się Waluś. — Ale bywają okoliczności... odmówić niepodobieństwo.

— Ja to rozumiem doskonale! Przychodzi kolega, błaga, zaklina, a kiedy już dostał poręczenie, wcale nie myśli płacić.

— Cóż on zrobi biedak, jeżeli nic nie ma?... Daję ci słowo, że poręczałem tylko ludziom, będącym w ostatniej potrzebie!

(Ciąg dalszy nast.)

Wędrówki po Lwowie.

Kwestja mieszkań.

Czas najwyższy, by poruszyć raz przecie kwestję piekącą mieszkań we Lwowie, która dotąd, o ile mi wiadomo, nie była nigdzie poruszoną, a jeżeli ją gdzie dotknięto, to w rękawiczkach tylko, bardzo oględnie.

To też doszło do tego, że we Lwowie cena mieszkań tak poszła w górę, iż jest wyższą o 25% od cen we Wiedniu, o 30% od cen w Berlinie, a o 26 procent od cen w Warszawie, za mieszkania pobieranych; a znam wielu kapitalistów i pensjonistów, którzy porzuciwszy

swoje zajęcie, a chcąc żyć taniej, przenieśli się ze Lwowa do Wiednia, bo tam znajdują nietylko życie tańsze, ale co ważniejsza tańsze pomieszkania.

Anglik, równie jak Niemiec, żyje z budżetem w ręku i preliminuje nawet w tak ludnem mieście, jakiem jest Londyn, 20 procent ze swego stałego dochodu na mieszkanie.

Według takiego budżetu miałby płacić czynszownik, mający dochodu 1000 zł., czynsz za mieszkanie 200 złr. przy 2000—400 złr., a przy 3000 dopiero 600 złr. Pytam więc, czy we Lwowie można by istnieć z takim budżetem? Tu niema prawie mieszkań za 200 złr, chyba jedna izba razem z kuchnią, lub mieszkania w suterenach, wilgotne o dwóch izdebkach. Tu już za mieszkanie o trzech pokojach z przedpokojem i kuchnią, w którem zaledwie pomieścić się może rodzina, z pięciu głów złożona, na drugiem piętrze zapłacić trzeba 500 do 600 zł. zatem trzeba mieć dochodu, według powyższego budżetu, 2500 do 3000 złr. rocznie.

Cóż więc począć mają rodziny, które nie mają tego dochodu. Oto albo mieszczą się w wilgotnych, ciemnych norach, albo też płacąc czynsz wygórowany, nad możność swoją, zaoszczędzają się w innych rubrykach budżetu — oto źle się odżywiają, źle się odziewają, odmawiają sobie nietylko wszelkich rozrywek i przyjemności, ale nawet potrzeb najniezbędniejszych, byle tylko oddać większą część swego dochodu temu nigdy nienasyconemu molochowi, którym jest czynsz najmu we Lwowie, bo mieszkania nietylko nie tanieją, ale konsekwentnie i stale idą w górę, a ludność bezdomna, opłacająca czynsze, rujnuje się na mieszkania, będąc zniewoloną odmawiać sobie zaspokojenia najnieodzowniejszych potrzeb, najprostszych rozrywek.

W innych miastach wielkich cena mieszkań stosuje się do przestrzeni, jaką mieszkanie zajmuje; naprzykład w Wiedniu płaci się w śródmieściu po 4 zł. za metr kwadratowy rocznie, na przedmieściach po 3 zł. tak, że mieszkanie o 100 metrach kosztuje 400 względnie 300 zł. rocznie. Inaczej jest we Lwowie, tu płacimy za mieszkanie nie według metrów kwadratowych, ale według ubikacji i tak: za dwa pokoje z kuchnią na dole lub na drugiem piętrze płaci się 300 zł., jak jest przytem przedpokój, to już 400 zł., a niechże będzie, broń Boże, jeszcze i spiżarka (zresztą ubikacja dla przeciętnego Lwowianina zupełnie zbędna, bo tu nikt zapasów nie robi), to zapłacisz za to pomieszkanie już 500 zł. Na pierwszem zaś piętrze, jako na piętrze, przeznaczonem dla lokatorów dystyngowanych i zamożnych o 20 proc. drożej.

Oczywistą jest rzeczą, że przy tak korzystnych stosunkach najmu kamienice się mnożą, powstają jak grzyby po deszczu, ale mnożą się też ubikacje w kamienicach.

Oto ogłasza się w nowej kamienicy pomieszkanie, złożone z czterech pokoi, kuchni, przedpokoju i spiżarni — pytasz o cenę, odpowiedzą ci bez zająknienia 650 zł. rocznie, czynsz kwartalnie z góry, trzymiesięczne wypowiedzenie, 2 zł. miesięcznie dodatek magistracki, a prócz tego wiele jeszcze innych warunków: oto nie wolno mieć więcej jak dwoje dzieci, nie wolno trzymać psa ani kota, kanarka ani kwiatów, słudze nie wolno chodzić, choćby bez ciężaru głównemi schodami, nie wolno mieć za wiele gratów, bo to obciąża kamienicę, nie wolno skakać ani tańczyć, nie wolno gwoździ nowych do murów wbijać i jeszcze 17 różnych „nie wolno“, których tu nie wyliczam, by nie nużyć zbytnio czytelnika. Oglądasz to zachwalone pomieszkanie i cóż znajdujesz?

Oto właściwie tylko jeden pokój, tak zwany „salon“, bo każdy przeciętny Lwowianin musi mieć salon, przeznaczony na skład garnituru tapicerskiego, kilku stolików i nieodzownego fortepjanu, z koniecznym albumem na fotografje i talerzem na bilety.

Otóż jedyny pokój możliwy przeznacza się na salon, który należycie wyczyszczony i ozdobiony stoi zazwyczaj zamknięty przez cały tydzień — może i miesiąc cały, wyczekując gości; rodzina cała mieści się w innych ciasnych ubikacjach, uważając ów „salon“, jako sanktuarjum, przeznaczone dla zaprezentowania się gościowi, a chociaż tam tych gości nie wiele bywa i czasem „salon“ stoi miesiącami bez użytku, to jednak zawsze przeciętny, porządny, szanujący się Lwowianin „salon“ mieć musi, a nuż kiedyś przyjdzie do nas zużyty jaki „hrabia“, to wprowadzimy go do salonu, niech wie „że i my tak, jak on, możemy mieć salon“.

(Dok. nast.)

Błędy językowe.

31. Władca Egiptu nazywa się *chedyw*; Francuzi, nie mając w języku swoim *ch*, piszą *kh*, a dla uwydatnienia *w* końcowego, dodają *e* nieme: *khedive*. Dzienniki nasze powtarzają bezmyślnie ten sposób pisania i drukują *khedywe*; powinno się mówić i pisać: *chedyw*. Takąż drogą dawno już dostał się do nas *kalif*, zamiast *chalif*.

32. Nie *delikwent*, lecz *delinkwent*; nie *ambonament*, *ambonować*, lecz *abonament*, *abonować*, bo nie od *ambony*, lecz z francuskiego *abonnement*.

Z drukarni Z. Goloba we Lwowie